

5

JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ PO RAZ DRUGI

Był mroźny lutowy poranek 1957 roku za panowania Nikity Chruszczowa, gdy otrzymałem pilny telefon, że ktoś na mnie czeka w izbie przyjęć kliniki dziecięcej przy ulicy Działdowskiej. Szybko zbiegłem schodami. Na dole stał Andrzej.

- Ubieraj się, jedziemy do Orbisu i stajemy w kolejce po paszport.

Nim minęło pół godziny załatwiłem sobie cztery dni wakacji. Wyjazd do Włoch - każdy rozumiał powagę sytuacji, i administracja szpitala i związek zawodowy, i kierownik kliniki, i kolega, któremu w pośpiechu przekazałem moich pacjentów, choć jak zwykle w poniedziałek, każdy miał nawet pracy.

Wysłałem depezę do Marysi, aby natychmiast przyjeżdżała. Biuro Orbisu znajdowało się na parterze hotelu Europejskiego przy Krakowskim Przedmieściu. Gdy weszliśmy do środka, w obszernym holu stały już trzy odrębne kolejki na trzy wycieczki. Najdłuższa na najtańszą wycieczkę do Wiednia, najkrótsza na najdroższą - do Francji. Z góry zdecydowałem się na Włochy, uważając, że będzie tam mniej kandydatów ze względu na cenę - po sześć tysięcy na głowę. Francja była za droga na moją kieszeń. Przy tym Andrzej już był we Francji, skąd wrócił przed paru tygodniami. Pojechał tam na zaproszenie znajomego Alzatczyka, kiedyś listonosza, z którym zaprzyjaźnił się w 1941 roku na przymusowych robotach w Niemczech, a obecnie pułkownika armii francuskiej. Wiedeń zapewne przyciągał i tych, co chcieli pryskać, i handlarzy, bo i tym, i tym zależało, aby tylko postawić nogę za żelazną kurtyną. Można więc było wywnioskować, że jadący do Włoch byłiby mniej niż „wiedeńczycy”, podejrzewani przez UB o zamiar pozostania na Zachodzie. Jako trzydziesty pierwszy dołączyłem do kolejki. Do Włoch miało pojechać tylko trzydzieści osób. Przedemną stała już żona Andrzeja Lilka, jej siostra Iza i brat Wojtek, który ustąpił miejsca Andrzejowi. Z holu szerokie schody prowadziły na górę. Na końcu holu znajdowały się drzwi do biura Orbisu oraz małe okienko, które miało się dla nas otworzyć za trzy dni, w czwartek rano - okienko na świat. Pomimo iż wewnątrz hotelu było w trakcie remontu, w pokojach na górze tymczasowo zamieszkiwali obywatele

przedwojennego państwa polskiego, czyli Drugiej Rzeczypospolitej, niedawno wypuszczeni czy też zwolnieni ze Związku Radzieckiego. Wśród nich najczęściej słyszało się język rosyjski, choć wielu mówiło po polsku. Byli też Żydzi, którzy zatrzymali się w Warszawie w oczekiwaniu na wyjazd na Zachód bądź do Izraela. Krążył w tym czasie taki dowcip: Jeden Żyd pyta drugiego.

- Co byś zrobił, gdyby otworzyli granice na Zachód?
- Wlazłbym na drzewo.
- Dlaczego?
- Żeby mnie nie stratowali.

W miarę upływu godzin coraz więcej osób dołączało do kolejek, tak że ich liczba znacznie przekraczała ilość miejsc. Wielu ciekawych zachodziło zobaczyć na własne oczy, co się dzieje. Wieść o niezwykłym wydarzeniu, jakim była planowana wycieczka, już musiała się rozejść po Warszawie. Po południu zjawiała się prasa, ludzie z radia a nawet z telewizji. Była to pierwsza turystyczna wycieczka na Zachód w historii Polskiej Republiki Ludowej, a ściślej biorąc pierwsza od 1939 roku, od paktu Ribentrop - Mołotow. Andrzej dowiedział się o planowanej wycieczce od swego przyjaciela Antosiewicza, dyrektora Orbisu, którego starszy brat był wiceministrem spraw wewnętrznych czyli bezpieczeństwa i policji. Ci co pierwsi przybiegli do Orbisu też musieli mieć jakieś kontakty. Małżeństwo stojące za mną uparcie twierdziło, że zajęli miejsca przed nami, że je zarezerwowali i na chwilę wyszli, a gdy wrócili nikt nie honorował rezerwacji i musieli stanąć na samym końcu ogonka.

Biuro Orbisu zamykano o piątej. Mogliby nam pozwolić przenocować w holu, nikomu byśmy nie zawadzali. Niestety, trzeba było wyjść na ulicę. Będąc przygotowani na taką ewentualność, ustawiliśmy się pod ścianą przy wejściu do hotelu w takiej samej kolejności jak w środku - osobno Wiedeń, Francja, Włochy. Na początku lutego słońce zachodzi wcześniej i już szarzało, gdy nas wyproszono na dwór. Wkrótce zapadła ciemność rozjaśniona blaskiem wydobywających się z niektórych okien świateł, które wygasły ze zbliżaniem się północy. Duża część Warszawy leżała jeszcze w gruzach, latarni ulicznych było niewiele i większość miasta spowijał półmrok, jeśli nie ciemność. Wydmuchując kłęby pary przechodnie pomykali, oglądając się za nami. Z rzadka ktoś zaciekawiony przystawał, aby dowiedzieć się, co to za towar będą sprzedawać następnego dnia. Z czasem ostatni przechodnie zniknęli z ulicy i oprócz nas nie było widać żywego ducha. Byłoby ponad

ludzką wytrzymałość stać na mrozie całą noc, zwłaszcza że czekały nas jeszcze dwie takie noce i dwa dni. Zmienialiśmy więc „wartę”. Siostra i brat Lilki stali na zmianę z nami. Co dwie, trzy godziny „wolny od służby” szedł do pobliskiego mieszkania siostry ogrzać się i przespać. Na ulicy dla rozgrzewki przytupywało się i zabijało ręce. Trzeba było ubrać się odpowiednio, wcisnąć na siebie, ile się dało swetrów i kalesonów, okręcić twarz szalikiem. Przyjaciele przynosili wartującym gorące napoje w termosach. Stopniowo rozmowy w kolejkach ustały i ciszę przerywało tylko przytupywanie i zabijanie rąk. Nim pierwsze promienie słońca zaróżowiły ośnieżone dachy, dołączyła Marysia i zajęła miejsce Izy. Przyjechała pospieszonym ze Śląska. Niedawno pobraliśmy się i jeszcze nie wprowadziła się do Ursusa, gdzie szykowałem tzw. gniazdko rodzinne. Była to murowana budka, coś w rodzaju kurnika przerobionego na ludzką siedzibę. Wynająłem to od sąsiadki mego wuja, który poręczył za mnie... Znalezienie pokoju dla małżeństwa w samej Warszawie było wręcz niemożliwe. Poza tym w Warszawie miałem tylko tymczasowe zameldowanie, więc nigdy bym nie dostał przydziału mieszkania. Chodziły słuchy, że Ursus ma być przyłączony do Warszawy. W tym wypadku, wszyscy jego mieszkańcy, ze mną włącznie, automatycznie dostaliby stałe zameldowanie. Nowo przybyli do Warszawy mogli otrzymać albo stałe (co było bardzo trudne), albo tymczasowe zameldowanie. Zależało od tego, kogo się znało i gdzie się należało.

O ósmej rano otworzyły się drzwi biura i w ordynku wmaszerowaliśmy do środka. Po piętnastu mroźnych godzinach owiało nas ciepłe powietrze. Ustawiliśmy się w tej samej kolejności co wczoraj, formując trzy ogonki: włoski, francuski i wiedeński. Mnóstwo ludzi wchodziło do holu, jedni z ciekawości zobaczyć, co się dzieje, inni z zamiarem wyjazdu za granicę. Już cała Warszawa dowiedziała się o wycieczce z porannych gazet, z radia, a nawet i z telewizji, bo ten i ów już ją miał. Ogłoszono, że kto pierwszy ten lepszy. Wielu usiłowało wepchnąć się do kolejek pod różnymi pretekstami. Małżeństwo, które poprzedniego dnia twierdziło, że stało przed nami, przeszło do natarcia. Zwłaszcza mąż poczynił sobie tak agresywnie, iż groziło to rozbiciem kolejki. Kobieta, chyba trochę zawstydzona zachowaniem męża, choć mu dzielnie sekundowała, próbowała wytłumaczyć, dlaczego on taki nerwowy, mówiąc że Niemcy rozstrzelali go w czasie powstania. Wypędzili mieszkańców kamienicy na podwórze pod ścianę. Jemu strzelili w kark. Coraz to

nowych cywilów doprowadzali i zabijali. Potem podpalili dom. Przeleżał przytomny pod trupami, a gdy noc zapadła, wyczołgał się. Jak na „rozstrzelanego” prezentował się wcale dobrze. Pokazał bliznę po kuli. Przeszła na wylot obok kręgosłupa. Aby zapobiec rozbiciu kolejki, wpuściliśmy ich przed siebie.

Tłum pęczniał, wypełnił hol i napierał. Kolejkom groziło rozerwanie. Nasza włoska stała przy ścianie po prawej stronie i dzięki temu mieliśmy zabezpieczoną prawą flankę. „Rozstrzelany” mąż, gdy tylko uplasował się przed nami, z rozbijacza przerodził się w obrońcę. Nie wszyscy spośród tłumu przyszli, aby tylko pogapić się. Ci, którzy sami zainteresowani byli wyjazdem za granicę wyróżniali się nieprzyjaznym nastawieniem do stojących w kolejkach, co można było wydedukować z głośnych uwag. Po tym słownym przygotowaniu - podobnie jak na wojnie, gdy natarcie piechoty poprzedza przygotowanie artyleryjskie - od słów przeszli do czynów. Nasilili napór na istniejące kolejki, próbując je rozerwać, zaczęli formować własne, konkurencyjne kolejki, które rozpadały się, zaraz po uformowaniu. Największy tumult panował tam, gdzie stali „wiedeńscy”. Zwarliśmy mocno szeregi. Huczało jak w złym ulu. Jeśli hałas nasili się, przyjdzie milicja i wyeksmituje wszystkich na ulicę, i tych co przyszli pierwsi, i tych spóźnionych. Nie daliśmy się sprowokować i wytrzymałmy napór, w czym była duża zasługa „rozstrzelanego”, który dwoił się i troił i wykazując wielki hart ducha. Już przed piątą nacisk zelżał i jak poprzedniego dnia w ordynku opuściliśmy hotel, aby zająć pozycje pod jego ścianą. Druga noc warowania na ulicy minęła bez wydarzeń. Każda godzina stania zbliżała nas o godzinę do chwili, gdy otworzy się okienko, przez które będziemy składać podania o paszport. Z zadowoleniem powitaliśmy świt jako zapowiedź spędzenia dnia w ciepłym holu i z niepokojem, czy kolejki wytrzymają następny szturm. Wbrew naszym obawom środa przebiegła spokojnie, pomimo iż przez hol przewinęło się mnóstwo ludzi. Młoda kobieta, znajoma Andrzeja, wpadła na krótko. Oboje stanąwszy na uboczu, rozmawiali przez kilka minut. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. W środę o zmroku zajmowaliśmy pozycję na ulicy z poczuciem zwycięstwa. Już nie pamiętam tej ostatniej nocy - czy księżyc nam przyświecał, czy gwiazdy mrugały, czy śnieg sypał. Gdy w czwartek rano wmaszerowaliśmy z mroźnej ulicy do ciepłego holu, nie było prasy, radia, telewizji, nie było gapiów. Otworzyło się okienko, przez które złożyliśmy wypełnione formularze. Marysia i ja znaleźliśmy się już

poza limitem, na trzydziestej trzeciej i trzydziestej czwartej pozycji. Nadzieja leżała w tym, że kogoś stojącego przed nami odrzucą. Była połowa lutego. Od daty wyjazdu do Włoch, pierwszego czerwca, dzieliło nas trzy i pół miesiąca.

Zaczęło się rozdwojone życie. Wstawałem o siódmej rano, wskakiwałem do trolejbusu o wpół do ósmej, wychodziłem ze szpitala o trzeciej. Badanie pacjentów, przepisywanie leczenia, dyskusje, referaty. We czwórkę snuliśmy plany o nowym życiu na wolnym Zachodzie. Teraz, gdy pojawiła się nadzieja wydostania z sowieckiego imperium, szeroki świat wydawał się bardziej bajkowy niż kiedykolwiek. Florencja, Rzym, Paryż, kanały Wenecji, kopuły Italii, katedry Francji, kolumny Forum Romanum. Widziałem siebie pośród murów, które kiedyś oglądały rzymskie legiony, napoleońską gwardię, Robespiera, Joannę d'Arc. Musiałem przemóc fantazje, nie pozwolić im zdominować mojego życia. Musiałem także planować moją przyszłość wewnątrz imperium, gdyby się nie udało wymknąć, i zachowywać się tak, jakby to miała być tylko osiemnastodniowa wycieczka, a nie ucieczka. Wiedziałem, że jakieś oczy, zapewne wiele oczu będzie mi się przyglądało... Już mi się przygląda.

Mijały tygodnie, zima miała się już ku końcowi, gdy Andrzej przyniósł wiadomość, że komuś z naszej kolejki odmówiono paszportu. A potem jeszcze komuś i jeszcze komuś. Ci odrzuceni albo nie znali przyczyny, albo woleli o tym nie mówić. Gdy się pobieraliśmy, najpierw poradziłem Marysi, aby zmieniła nazwisko w dowodzie osobistym na moje. Był to błąd, na szczęście do tego nie doszło. Wypełniając podanie o paszport podała swoje panięńskie nazwisko. UB uważało (przynajmniej moim zdaniem), że gdy małżonkowie wyjeżdżają razem za żelazną kurtynę, jest większe prawdopodobieństwo, iż nie wrócą, niż w przypadku osoby samotnej. Już w 1956 roku uczyniłem kilka prób wydostania się na Zachód. Napisałem do paru szpitali w Jugosławii w sprawie wymiany wakacyjnej. Otrzymałem tylko jedną niejasną odpowiedź. Napisałem na paryski adres do Edka, z którym razem uciekałem przez Czechosłowację w 1945 roku, aby wysłał mi zaproszenie na przyjazd do Francji. Edek odpowiedział na to w liście do swojej matki „nie wiem, o jakie zaproszenie Jankowi chodzi” - tak jakby nie wiedział, co każdy wiedział. Można też było wydostać się na Zachód przez Berlin. Wsiadało się do metra we Wschodnim Berlinie, wysiadało się w Zachodnim. Wkrótce Chruszczow zamknął to jedyne okno z imperium na świat, które Stalin trzymał otwarte.

Pewnego razu jechałem z Andrzejem Alejami Ujazdowskimi, gdy jego czarny mercedes nagle zahamował. Jadący naprzeciw samochód też przystanął z piskiem opon. Za kierownicą siedział dyrektor Orbisu Antosiewicz, a obok jego starszy brat - wiceminister spraw wewnętrznych. Na środku Alej zostałem przedstawiony najwyższemu poznanemu przeze mnie dostojnikowi rządu Polskiej Republiki Ludowej. Andrzej, zapewne aby wzmocnić towarzyskie więzy, poradził Antosiewiczowi, aby mnie poprosił na konsultację do swego chorego dziecka. Przy okazji wizyty w domu dyrektora zobaczyłem, jak on komfortowo mieszkał. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. W 1954 roku przez kilka miesięcy pracowałem w godzinach wieczornych w klinice rządowej, odbywając wizyty domowe. Przedstawiciele proletariatu luksusowo mieszkali w wielu pokojach, podczas gdy sam proletariat gnieździł się w ciasnocie - rodzina na pokój. Uderzyło mnie, że bez wyjątku jedną z dekoracji wnętrza mieszkań dygnitarzy - poza dywanami, makatami etc. - były półki i półki, od podłogi niemal do sufitu, zastawione książkami, wątpliwe czy kiedykolwiek czytany.

Andrzej i Lilka otrzymali zawiadomienie, że ich podanie odrzucono. Uzasadniano to tym, że oboje już byli ostatnio za granicą, Andrzej w Szwecji i Francji, Lilka w Czechosłowacji. Brzmiało to fałszywie. Jakoby wszyscy obywatele mieli mieć równy dostęp do wyjazdów. W rzeczywistości było na odwrót, jedni wyjeżdżali raz po raz, inni wcale, wiadomo dlaczego. Andrzej, pozostający w dobrych towarzyskich stosunkach z Antosiewiczami, lepszego poparcia dla otrzymania paszportu nie potrzebował. Lilka odsiedziała wprawdzie półtora roku jeszcze w latach czterdziestych za próbę ucieczki z Polski. Czyżby to było powodem odmowy wydania paszportu? Zabito mi ćwieka w głowę. Każdego dnia z napięciem oczekiwałem poczty.

Moje przyszłe gniazdko rodzinne w Ursusie, ów „kurnik” przebudowany na ludzką siedzibę, nie miał czynnego systemu ogrzewania i dlatego był niezamieszkały. Musiałem wstawić żelazny piecyk, poza tym umeblować, wyposażyć - słowem, choć tam jeszcze nie mieszkałem i miałem nadzieję nigdy nie zamieszkać, musiałem działać tak, jakbym tu planował spędzić lata. Kupiłem najtańszy, jaki się dało tapczan. Andrzej załatwił mi transport. W tej zacisznej dzielnicy jednorodzinnych domków i mieszkańców klepiących biedę, wielka ciężarówka była niecodziennym zjawiskiem. Sąsiedzi widzieli, że sprawiłem sobie szeroki tapczan. Wuj, u którego się tymczasowo

zatrzymałem, przyszedł obejrzeć, co nabyłem. Własnym oczom nie mógł uwierzyć.

- Coś ty za tandetę kupił - potrząsnął głową, to się raz dwa rozleci, Marysia ci łeb ukręci.

Wuj, pomimo niskiego wzrostu, łysiny prawie od dzieciństwa, odstających uszu i grubego nosa, był już żonaty trzeci raz (i to nie ostatni), więc uważał, iż osobiste doświadczenie upoważnia go do dawania rad nowożeńcowi. Miał potężny głos, występował w amatorskim teatrze i to chyba zwiększało jego pewność siebie. Zdaniem wuja ja byłem nieżyctowym filozofem, on zaś człowiekiem praktycznym.

Ze Śląska od teściowej przyszło wiano: garnki, miski, warząchwie, tarki etc. oraz tzw. srebro stołowe. Specjalnie prosiłem, aby wysłała to nie na adres wuja, ale na stację w Ursusie. Załadowałem całe to wyposażenie na wózek o drewnianych kółkach z żelaznymi obręczami, celowo poluzowawszy opakowanie. Nawierzchnia ulic pomiędzy stacją a moim „kurnikiem” wyłożona była albo kocimi łbami albo niczym. Teren był gliniasty. Gdy deszcz padał, zapadało się powyżej kostek, gdy wyschło, błoto twardniało na kamień. Poszedłem na stację po południu, gdy większość ludzi powinna już była wrócić z pracy do domów. Ciągnąc wózek po największych wybojach, robiłem taki klekot metalem obijającym się o metal, że ludzie wyglądali z okien. Miałem nadzieję, że w ten sposób przekonam sąsiadów, iż w mych planach leży dłuższy pobyt w Ursusie. Byłem pewien, że ktoś mnie stale obserwuje i składa raporty do UB. Obok mieszkał młody mężczyzna, wykazywał więcej zainteresowania moim życiem niż tego wymagały dobrosąsiedzkie stosunki. Zachodził, wyciągał mnie na rozmowy. Pokazałem mu tapczan.

Sytuacja Andrzeja skomplikowała się. Podśluchiowano jego rozmowy telefoniczne. Był tego niemal pewien. Kilka razy, gdy podniósł słuchawkę, usłyszał głosy, wymianę słów - podłączali się.

Wciąż widywaliśmy się, ale przestałem do niego dzwonić. Poza matką i jednym przyjacielem, nikomu nie powiedziałem o wycieczce. Ludzie bywają zazdrośni, a na pewno gadatliwi. Ktoś, kto wiedział o mojej nieudanej ucieczce na Zachód w 1945 roku, mógł powiedzieć - mam nadzieję, że mu się uda tym razem - a ktoś niepowołany mógł to usłyszeć. Oczywiście w pracy wszyscy wiedzieli.

Mój brat dostał powołanie do wojska. Starał się o przydział do bazy marynarki wojennej na wybrzeżu, gdzie mieszkał. Kilka lat

temu, w Elblągu, leczyłem dzieci komandora marynarki wojennej uwięzionego wtedy we Wronkach. Został aresztowany, ponieważ w czasie wojny służył w wojsku polskim w Anglii. Zwolniony i zrehabilitowany zajmował poważne stanowisko w MON-ie. Postanowiłem odwiedzić go i poprosić, aby użył swych wpływów w sprawie brata. Komandor mieszkał koło placu Narutowicza. Andrzej zaofiarował się podwieźć mnie swym czarnym mercedesem. Po drodze zagadnął mnie.

- Spiesz ci się?

- Nie spiesz.

- Chciałbym ci coś powiedzieć.

Zaparkował samochód przy jednej z bocznych ulic wychodzących na plac Narutowicza.

- Czy pamiętasz, gdy staliśmy w Orbisie - zaczął - młoda kobieta wpadła na kilka minut i rozmawiała ze mną. Dowiedziała się od wicedyrektora biura paszportowego, że ja nie dostanę paszportu, ponieważ w Paryżu spotkałem się z jakimś podejrzanym typem.

Siedząc w zaparkowanym samochodzie ze dwie godziny, poznałem szczegóły sprawy. Do Francji zaprosił Andrzeja pułkownik armii francuskiej, przyjaciel z lat wojny.

W 1941 roku Niemcy zatrzymali Andrzeja w Warszawie i odstawili do obozu przy ulicy Skaryszewskiej, skąd wysłali na przymusowe roboty do Rzeszy. Matka Andrzeja nawet za dużą łapówkę nie mogła go uwolnić. Przekupiony Niemiec obiecał jedynie, że znajdzie zatrzymanemu dobre miejsce i dotrzymał słowa. Wysłano Andrzeja do Alzacji, dopiero co przyłączonej do Reichu po upadku Francji. Jego zwierzchnik okazał się miłym człowiekiem i do tego stopnia tolerancyjnym, że patrzył przez palce, gdy Andrzej nie nosił opaski z literą P, do czego Polacy byli zobowiązani.

W czasie przymusowej pracy Andrzej poznał młodego chłopaka, listonosza o niemieckim nazwisku. Gdy się zaprzyjaźnili i nabrali zaufania do siebie, spotykając pozdrawiali się:

- Niech żyje Sikorski. Niech żyje de Gaulle.

Wybuchła wojna ze Związkiem Sowieckim. Listonosza i dobrego zwierzchnika powołano do wehrmachtu. Nowy zwierzchnik dał Andrzejowi złą opinię, co groziło odesłaniem w dużo gorsze warunki.

Korzystając z dostępu do biura, Andrzej wypisał sobie i drugiemu Polakowi dwutygodniową przepustkę na urlop do Generalnej Guberni. Listonosz, jeszcze przed włożeniem munduru,

podwiózł ich na stację. Jechali bez opasek P. jedynie lokalnymi pociągami, wysiadając co kilka stacji. Kupowali nowe bilety i tak powoli dojechali do Berlina. W dalekobieżnych pospiesznych pociągach policja sprawdzała dokumenty. Andrzej mówił płynnie po niemiecku, jego kompan prawie wcale. W restauracji na dworcu w Berlinie podszedł do nich nieznany im kelner i szeptem po polsku udzielił rad, jak zachowywać się, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Po różnych przygodach udało im się przedostać do Generalnej Guberni i Andrzej znalazł się w Warszawie. Po kilku tygodniach przypadkiem wpadł w łapankę na ulicy. Znow trafił na Skaryszewską i tym razem, nie wiedząc, że on dopiero co uciekł z Alzacji, wysłano go do fabryki zbrojeniowej na północy Niemiec. Uciekł jeszcze raz, ale złapano go na granicy Rzeszy i Generalnej Guberni i odstawiono do tej samej fabryki.

Obsługując dźwig poruszający się na szynach, zauważył, że łatwo go wykoleić, nie ściągając na siebie podejrzeń. Uczynił to kilka razy. Ilekroć dźwig spadał z szyn, produkcja stawała na wiele godzin. Przyjechała komisja inżynierów z Berlina i wydała orzeczenie, że przyczyną wykolejeń był kawałek metalu, który znalazł się tam, gdzie nie powinien być. Andrzej wykoleił dźwig jeszcze raz i wtedy aresztowano go. Skończył wojnę w obozie koncentracyjnym Buchenwald.

Losy listonosza potoczyły się torem równie niebezpiecznym. Wzięto go do Wehrmachtu, a że pracował przedtem na poczcie, dostał przydział do łączności i został szyfrantem. Wkrótce znalazł się na wschodnim froncie. Korzystając z zamieszania w czasie bitwy, podrobił sobie przepustkę na urlop do domu w Alzacji.

Kiedy uciekł, początkowo w jego jednostce uważano, że zginął. Gdy nie znaleziono zwłok, a odkryto brak szyfrów, był już w Paryżu. Francuski ruch oporu, z którym się skontaktował zawiadomił Londyn, że mają takiego wartościowego dezertera. Samolotem przewieziono go do Anglii, gdzie ukończył kurs wywiadu i zaraz zrzucono go w północnej Francji. Zaledwie znalazł się na stacji kolejowej, został aresztowany. Niemcy poznali go w tłumie pasażerów po walizce, w której miał nadajnik radiowy. Skazano go na śmierć. Miejscowa jednostka gestapo powinna była w drodze służbowej przekazać go centrali, a wtedy centrala, a nie jednostka dostałaby wyróżnienie za złapanie szpiega. Miejscowe gestapo więc, pomijając centralę, wysłało go bezpośrednio do więzienia na egzekucję. Kiedy wieźli skutego odkrytą ciężarówką, zaczął padać deszcz. Jeden z

wartowników zszedł do kabiny szofera. Wtedy listonosz poprosił drugiego o papierosa. Gdy ten sięgnął do kieszeni, uderzył go w twarz kajdankami i niezauważony zeskoczył w biegu.

W czasie wojny jeszcze dwa razy zrzucono go na niemiecki teren. Pierwszy raz, w grupie dywersantów, tuż za linią frontu, aby wysadzić most. Dla niepoznaki lecieli nocą razem z armadą amerykańskich latających fortec. Pilot ich samolotu zgubił się i krążył przeszło pół godziny, zanim odnalazł właściwe miejsce. Dywersanci nie chcieli skakać, uważając, że Niemcy już są zaalarmowani, ale podpita załoga latającej fortecy zmusiła ich do skoku, niemal wypchnęła ich. Na dole czekali Niemcy. Byłemu listonoszowi, a teraz już porucznikowi, udało się wraz z jednym z dywersantów przedostać do swoich poprzez linię frontu. Pozostali, Francuzi, zginęli, a z nimi Anglik, specjalista od detonacji. Gdy ocalonego zrzucono po raz drugi, razem z trzema wywiadowcami, był grudzień 1944 roku, kilka miesięcy przed końcem wojny.

Aliancki wywiad ustalił, że jeńiec wojenny, Francuz na przymusowych robotach w Niemczech, a dokładniej w północnych Czechach, ma kochankę Niemkę, zatrudnioną w zakładach lotniczych, gdzie pracowano nad konstrukcją samolotów odrzutowych. Wszyscy czterej wywiadowcy wylądowali szczęśliwie i nawiązali kontakt z jeńcem. Nie sprawił on na nich dobrego wrażenia, ale nie o dobre wrażenie chodziło. Jego kochanka, sekretarka, kobieta pięćdziesięcioletnia, starsza od niego o prawie dwadzieścia lat, była zakochana w nim po uszy. Niemcom było zabronione utrzymywać stosunki płciowe z cudzoziemcami. Dla cudzoziemców mężczyzn przewidziana była kara śmierci. Nie widząc innej drogi, wywiadowcy postanowili zagrać w otwarte karty. Przedstawili się jako oficerowie francuskiego wywiadu. W zamian za fotokopie planów produkcyjnych odrzutowców obiecali wstawić się za nią po wojnie u władz francuskich, aby otrzymała pozwolenie na małżeństwo ze swym kochankiem. Francuz miał nadal grać rolę zakochanego i snuć małżeńskie plany. Początkowo wszystko szło dobrze. Przynosiła fotokopie. Wkrótce jakieś wątpliwości czy wyrzuty sumienia sprawiły, że stawała się coraz bardziej nerwowa, zaczęła zachodzić do barów i pić. Nierozważnie wydawała też pieniądze, które jej dawali. Wywiadowcy doszli do wniosku, że albo się załamie nerwowo, albo zwróci na siebie uwagę niemieckiego kontrwywiadu. Otruili ją cjankiem potasu.

Wracając jechali na Zachód pociągiem na fałszywych papierach, a gdy we czterech usiłovali przedostać się do Szwajcarii w mundurach wehrmachtu, zostali aresztowani na granicy. Porucznika, byłego listonosza, przesłuchiwał przez tłumacza generał SS, znający słabo francuski, rodem także z Alzacji. Porucznik podał się za kapitana, im wyższy stopień, tym lepsze traktowanie i większa szansa przeżycia. Ani przy pierwszym, ani przy drugim aresztowaniu Niemcy nie wiedzieli, że mają przed sobą dezertera z wehrmachtu. Dzięki temu porucznik miał kilka sekund na przygotowanie odpowiedzi, zanim pytanie przetłumaczono z niemieckiego na francuski. Miał także szczęście, że tłumaczem był Niemiec, a nie Francuz kolaborcjonista, który mógłby poznać po mowie, że porucznik pochodzi z Alzacji, a nie jak twierdził, z północnej Francji. Raz generał SS w czasie przesłuchania rzekł:

- Wyczuwam, że jest w panu coś alzackiego.

Na to porucznik skłamał:

- To prawda. Mój dziadek pochodził z Alzacji i po wojnie francusko-pruskiej w 1870 roku, po przyłączeniu Alzacji do Niemiec wyemigrował do Paryża.

Pewnego dnia major SS oświadczył, że porucznika i jednego z wywiadowców odstawi do granicy szwajcarskiej z prośbą, by po wojnie, na wypadek sądu nad majorem i generałem, wystąpili jako świadkowie obrony. Dwaj pozostali wywiadowcy zostali rozstrzelani. W tydzień po zakończeniu wojny były listonosz wraca do domu matki w Alzacji i w jego własnym ogródku mina urywa mu nogę.

Po sześciu latach wygasły ognie i rozwiały się dymy pożogi nad Europą, ale kontynent przecięła żelazna kurtyna rozdzielając ludzi i narody. Minęło piętnaście lat, w żelaznej kurtynie ukazały się szczeliny i w Paryżu spotkali się, były listonosz i dezertier z byłym więźniem. Andrzej spędził z przyjacielem, już wtedy pułkownikiem, parę tygodni na prowincji. Potem pułkownik podwiózł Andrzeja do Paryża i przedstawił Polakowi zamieszkałemu we Francji nazwiskiem Szubert. Pan Szubert pokazał Andrzejowi Paryż, a przed jego powrotem do Polski zaproponował utrzymywanie dalszego kontaktu, ponieważ był zainteresowany tym, o czym ludzie mówią w Warszawie. Dodał, że jeśli ktoś od niego przyjedzie do Andrzeja, będzie się identyfikował przedwojenną polską srebrną pięćzłotówką z podobizną Piłsudskiego.

Pan Szubert pracował w departamencie wizowym francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Obiecał Andrzejowi, jeśli zajdzie

potrzeba, załatwić powrót do Francji. Andrzej nie wziął tego poważnie.

Po trzech miesiącach, w końcu kwietnia, Andrzej otrzymał telefon od kogoś, kto przedstawił się jako Stanisław Gogłuski z Paryża, znajomy pana Szuberta. Spotkali się raz, drugi i trzeci w restauracji hotelu Polonia, gdzie gość z Paryża zatrzymał się. Pan Staś nie pokazał srebrnej monety. Rozmawiali na różne ogólne tematy.

- Ja naśladowałem ciebie - wyjaśnił Andrzej - mówiłem dużo, nic nie powiedziałem.

Pan Gogłuski dzwonił do Andrzeja kilkakrotnie, do pracy i do mieszkania. Przy ostatnim widzeniu oświadczył, że wkrótce wraca do Paryża i podał datę odlotu. Andrzej znalazł w swej skrzynce pocztowej kopertę zawierającą dwa tysiące złotych i krótką notatkę:

„Życzę ci zdrowia i wszystkiego najlepszego, Wiesiek”.

Kopertę bez znaczka pocztowego ktoś wrzucił do skrzynki. Andrzej miał tylko jednego znajomego imieniem Wiesiek, ale ten był pijakiem i bez grosza. Gdy Andrzej spytał o ten prezent, Wiesiek wyśmiał go.

Na tym zakończyliśmy naradę w mercedesie. Nie byłoby wielką przesadą powiedzieć, że w miarę słuchania włosy jeżyły mi się na głowie.

Następnego dnia spotkaliśmy się na naradę. Nie ulegało wątpliwości, że Andrzej był inwigilowany przez UB. Szubert w Paryżu, kobieta w Hotelu Europejskim, odmowa paszportu, podsłuch telefonu. Teraz poszczególne fragmenty łamigłówek układały się w logiczną całość. Niejasna pozostawała tylko osoba pana Stasia Gogłuskiego.

Skąd on przybył, z Paryża czy z UB? A nawet jeśli z Paryża, to wcale nie znaczyło, że nie był ubowcem. I dlaczego zasugerował spotkanie i spotykał się z Andrzejem w restauracji hotelu Polonia, gdzie jak było powszechnie wiadomo, zainstalowano podsłuchy, ponieważ zatrzymywało się tam wielu cudzoziemców. Zagranicznymi gośćmi interesowały się nie tylko organy bezpieczeństwa, ale również, ze względu na dolary, lepszej klasy prostytutki zwane polonistkami, w odróżnieniu od ich uboższych sióstr zwanych gruzinkami, od warszawskich gruzów, gdzie z braku odpowiedniejszego locum, dobijały swego interesu w złotówkach. Zapewne wiele „polonistek” współpracowało z urzędem bezpieczeństwa. Dlaczego Staś włożył dwa tysiące do skrzynki

pocztowej zamiast wręczyć osobiście? Przecież agentowi zachodniego wywiadu powinno zależeć na tym, aby nikt nie dowiedział się, że Andrzej otrzymuje pieniądze z niewiadomego źródła. Skrzynkę pocztową mógł otworzyć nie tylko adresat, ale ktokolwiek z domowników. I dlaczego tylko dwa tysiące. Czyżby uważano, że taką sumą - za którą można było kupić najwyżej parę eleganckich półbutów - zachęci się dobrze sytuowanego człowieka, posiadacza mercedesa, do współpracy z obcym wywiadem? Pan Staś używał polskich zapalek, a przegub ozdabiał mu zegarek radzieckiej produkcji. Mógł to być kamuflaż. Następnego dnia po naradzie ze mną Andrzej zadzwonił na Okęcie dowiedzieć się, czy Stanisław Gogłuski odleciał do Paryża. Urzędnik, po sprawdzeniu, co zajęło sporo czasu, oświadczył, że ten obywatel był na liście pasażerów i odleciał. Poradziłem Andrzejowi, aby poszedł do UB, powiadomił ich o Szubercie i o tym co ostatnio zaszło oraz aby wytłumaczył, że początkowo nie wziął tego poważnie i dlatego zgłosił się z opóźnieniem. Miał też udawać, że nic nie wie o odlocie Gogłuskiego. Andrzej jednak wysłał depeszę do Paryża, do Szuberta z zapytaniem, czy Staś dojechał. Otrzymał telegram, że Staś dojechał szczęśliwie.

Jednego dnia Andrzej zaparkował swojego mercedesa obok Polonii. Gdy po skończonym spotkaniu pan Staś odjechał taksówką, Andrzej ruszył za nim. Taksówka skręciła w Marszałkowską, minęła Plac Konstytucji i pojechała dalej w kierunku Rakowieckiej, gdzie była komenda Urzędu Bezpieczeństwa. Na Puławskiej przegrodziła ich ciężarówka, zapaliło się czerwone światło i taksówka umknęła.

Jeśli Andrzeja aresztują - myślałem - to w śledztwie, przy biciu, może nie wytrzymać i przyzna się, że w tej sprawie mnie się radził. Wtedy nie tylko nie dostałbym paszportu, ale UB wzięłoby mnie w obroty i konsekwencje byłyby od umiarkowanych do nieobliczalnych, zależnie od tego co by wyniuchali i co by ze mnie wycisnęli. Jeśli Andrzej znajdował się pod obserwacją, to zapewne także notowano tych, z którymi się kontaktował. Obu Antosiewiczom Andrzej przedstawił mnie jako przyjaciela. Prowadził rozległe życie towarzyskie i z racji swego zawodu spotykał się z mnóstwem ludzi, więc UB zajęłoby wiele czasu przesłanie, posegregowanie i sprawdzenie jego kontaktów. Uzgodniliśmy, że dla mojego bezpieczeństwa nie będziemy się więcej widywać, a komunikować się będziemy przez brata Lilki.

Brakowało niecałe trzy tygodnie do wyjazdu, gdy otrzymałem zawiadomienie z Orbisu, abym się zgłosił celem uiszczenia opłaty za wycieczkę. Dodało mi to nadziei, ale nie zawróciło w głowie. Jeśli już byłem na liście podejrzanych, wezwanie do Orbisu byłoby tylko zwykłą próbą zamydlenia mi oczu. I tak mogliby nie dać mi paszportu lub zaczekać z zaaresztowaniem do ostatniej chwili, nawet na samej granicy. Gdy wręczałem pieniądze Antosiewiczowi, na chwilę rozmowa zeszła na Andrzeja. Mówiąc o nim użyłem formy „pan” zamiast imienia, aby zasugerować, że łączy nas tylko powierzchowna znajomość.

Mając tylko kilkanaście tysięcy odłożonych na dwóch książeczkach oszczędnościowych, musiałem wybrać prawie wszystko, zostawiłem jednak około stu złotych na każdej. Celowo nie zamknąłem swoich kont, aby sprawić wrażenie na funkcjonariuszach UB, że planuję dalszy pobyt w Polsce. Znowu przyszła wiadomość, że komuś odmówiono paszportu.

W klinice wszyscy asystenci musieli przygotowywać referaty. W tym celu zbieraliśmy się zwykle co miesiąc w mieszkaniu prof. Brokmana. Wybrałem sobie temat gronkowcowych zapaleń płuc. Miałem wygłosić referat we wrześniu, po zakończeniu sezonu wakacyjnego. Oświadczyłem, że to obszerny temat, że nie zdążę się przygotować, i po dłuższych targach pozwolono mi przełożyć na październik, a jeden z kolegów podjął się wygłosić własny we wrześniu. Oczywiście, miałem dosyć czasu by przygotować się na wrzesień, ale chodziło mi o to, aby sprawić wrażenie, że planuję dalszy pobyt w Polsce. Ktokolwiek wyjeżdżał na Zachód, znajomi zadawali sobie pytanie - wróci czy nie wróci. Nie inaczej mogło być i w naszej klinice. Raz kolega, notabene bardzo zdolny i odznaczający się „niewyparzonym pyskiem”, patrząc mi prosto w oczy rzekł z uśmiechem:

- No, przecież ty nie wrócisz.

- A co bym tam robił na tym wolnym Zachodzie - odparłem - szorował podłogi i zmywał garnki za dolary czy marki?

Napięcie wzrastało z każdym dniem. Wreszcie nadszedł pierwszy czerwca.

Jadący do Włoch, ci którym dotychczas nie odmówiono paszportu, mieli się zgłosić w jednym z biur o godzinie piątej po południu. Zgromadziła się niewielka grupa, czekając w ciszy na przybycie przedstawiciela biura podróży. Odczuwałem wielką nadzieję i wielki niepokój, jakby to miał być dzień mojego

z martwych wstania lub końca życia. Zaczęli odczytywać nazwiska, nie według alfabetu. Pojedynczo podchodziliśmy do siedzącego za stołem urzędnika, który wręczał nam paszporty. Padło i moje nazwisko, i żony; jej panieńskie.

Pociąg wyruszał z Dworca Głównego po ósmej. Razem z matką, we trójkę, poszliśmy na kolację do wykwintnej restauracji na Nowym Świecie, na co bym sobie w innej sytuacji nigdy nie pozwolił. Pożegnałem się z matką, przekonany, że upłyną lata nim ją zobaczę.

Z Nowego Świata pojechaliśmy na dworzec, gdzie już czekał kierownik wycieczki, Polak z Francji, zapewne komunista. Mówił poprawną polszczyzną, ale liczył nas po francusku. Już z góry uzgodniłem z Lilką i Andrzejem, że nie przyjadą na dworzec pożegnać się ze mną, aby nie wystawiać mnie na niebezpieczeństwo.

Pośród grupy odprowadzających zobaczyłem brata Lilki, który nie podszedł do nas. Zjawiała się także pani Irena Kościółkowska, przed wojną powiązana ze strefami rządowymi. Kobieta wyjątkowego charakteru. Przed samym wyjazdem dała mi na drogę francuskie tłumaczenie Kiplinga „IF”. Ku memu zaskoczeniu na peron weszła moja matka w towarzystwie swej przyjaciółki, której już wyjawiała, że nie wracam. Jej córka mieszkała w Wiedniu. Przyjaciółka zrobiła mi znak krzyża na czole.

Matce łzy ciekły po policzkach.

Tymczasem ogłoszono, że pociąg odjedzie z półgodzinnym opóźnieniem. Obawiałem się, że matka w głos się rozplacze i zwróci na mnie uwagę. Wśród odprowadzających i pasażerów naszej grupy na pewno byli kapusie. Widok szlochającej kobiety, która odprowadza syna na 18-dniową wycieczkę, mógł mnie kosztować paszport. Wszedłem więc do wagonu i nie wyglądałem oknem, aby swym widokiem nie pobudzić matki do płaczu. Wyczuwając, że coś się święci, zwróciłem się jeszcze raz do żony, czy nie wzięła czegośkolwiek na drogę, o czym ja nie wiem. Dopiero teraz, na kilka minut przed odjazdem przyznała się, że matka ukryła w walizce mój dyplom lekarski. To by był dopiero obciach! Niechby tak znaleźli przy rewizji na granicy... Zobaczyłbym Włochy jak własne ucho. Zeskoczyłem na peron, podszedłem do pani Ireny i udając że się żegnam, ukradkiem wręczyłem jej dyplom.

W zapadającym zmroku pociąg ruszył i wkrótce światła Warszawy zniknęły w oddali... na zawsze? Pociąg mknął przez ciemność rozjaśnianą od czasu do czasu kolorowymi światełkami

mijanych stacji. Gdzieś, setki kilometrów na południe, poza dwiema granicami, poza trzema kordonami policji, poza liniami kłębów kolczastego drutu, poza linią drutów wysokiego napięcia, poza pasmem zaminowanej ziemi... leżał Wiedeń, a za Wiedniem cały świat.

Katowice... Dziedzice... pociąg staje w Zebrzydowicach - granica. Jeden z pasażerów wyjmuje z kieszeni banknot dziesięciodolarowy i wtyka go za tabliczkę z napisem „Palenie wzbronione”. Jeszcze wpakuje nas wszystkich. Mnie chodzi o życie, jemu o handel. On liczy na to, że go nie wydamy, nic go nie obchodzi, że cały przedział mogą zatrzymać.

W pierwszych trzech przedziałach celnicy przeprowadzili szczegółową rewizję, osobistą i bagażu. Zajęło im to tyle czasu, iż obawiałem się, że nie skończą przed wschodem słońca. Ci, co prowadzili śledztwo Andrzeja, w każdej chwili mogli wpaść na mój trop. W moim umyśle każda godzina, każda minuta opóźnienia robiła różnicę, jakby mi się ziemia paliła pod nogami. Przez pozostałe przedziały naszego wagonu celnicy przeszli szybko, sprawdzając tylko paszporty. Wyrzależem przez okno, rozglądając się za barakiem, do którego wpędzili pasażerów w 1945 roku. Tą samą trasą jechałem dwanaście lat temu, uciekając z imperium Stalina. Wtedy... bez paszportu, bez biletu, na gapę za łapówkę, udając Słowaka. Pociąg ruszył i po kilku minutach stanął w Petrowicach. Mundurowi weszli do wagonu.

Usłyszałem znajome: *Připravte si pase ke kontrole.*

Moravska Ostrava, krótki postój i dalej w ciemność. Pociąg zatrzymał się pośród szczerzego pola. Mnóstwo mundurów.

Jedni wchodzą do wagonów, sprawdzają dokumenty, zaglądnają do walizek, inni włączają pod wagony, świecą latarkami, opukują młotkami. Trwa to bardzo długo. Jeszcze mogą zatelefonować z warszawskiego UB i wyciągnąć mnie z wagonu. Już mi się raz noga powinęła w ostatniej chwili, dwanaście lat temu, na linii demarkacyjnej przed Pilznem.

Pociąg ruszył powoli i nie przyspieszając biegu wjechał w szczelinę w żelaznej kurtynie. Widno jak w dzień, po obu stronach pasma zaoranej i zabronowanej ziemi, kłęby drutu kolczastego, linie drutów wysokiego napięcia, i na wysokich słupach lampy, hen aż po horyzont, rzucające kręgi oślepiającego światła.

Podobnego uczucia doświadczyłem przed trzynastu laty, wychodząc z wjazdu na rogu Wareckiej i Nowego Świata po kilkugodzinnej wędrówce kanałem ze Starego Miasta.

Już świta. Pociąg przystaje. Mundurowi wchodzą do wagonu. Słyszeć niemieckie głosy. To Austria.